

# WE BRZOSOWYM GAJU

Świetnym pomysłem było połączenie festiwalu ze Świętem Łodzi. Dni miast to najczęściej jarmarczne festyny z kramikami, balonami i występami podstarzałych gwiazd na estradzie przy głównej ulicy. Tymczasem Łódź proponuje połączenie świętowania, zabawy ze sztuką na wysokim poziomie artystycznym i z przywracaniem mieszkańcom zaniedbanych przestrzeni.

Po stronie plusów należy też zapisać honorowe załatwienie sprawy z reżyserem Zbigniewem Brzozą, którego poprzednie władze pożegnały w sposób mało elegancki. I od razu trzeci punkt na plus: dobre jest planowanie festiwalu w perspektywie trzyletniej, bo pozwala osiągnąć jakąś spójność, kontynuację rozpoczętych projektów, buduje jakąś tradycję czasu i miejsca.

Szkoda, że przy okazji podważa się samą ideę festiwalu. Łódź Czterech Kultur to miał być zawsze festiwal czterech narodowości tworzących kiedyś to miasto (zostawmy na boku wątpliwości co do zasług Rosjan dla naszej Ziemi Obiecanej), narodowości, a więc języków, tradycji, religii, sztuki, obyczajowości. Tymczasem dyrektor Brzoza na partnera do organizacji imprezy wybrał sobie Krytykę Polityczną, czyli środowisko niechętnie zarówno wątkom narodowym, jak i religijnym. Zamiast czterech kultur i dialogu z tradycją mamy więc kosmopolityczną mieszaninę i wielokulturową poprawność pod hasłem „nigdy więcej pomników” (to hasło ze spektaklu Krzysztofa Garbaczewskiego), mamy francuskie balony i awangardowy zespół z Londynu, mamy projekt Joanny Rajkowskiej (artystka anonsowana wszędzie jako autorka palmy na warszawskim skrzyżowaniu jest też pomysłodawczynią przerobienia poznańskiego komina na minaret), mamy wreszcie gwiazdę festiwalu Ewę Wójciak, która przez długie miesiące ze swoim Teatrem Ósmego Dnia prowadziła rozmowy z mieszkańcami jednej z kamienic, by wspólnie przygotować spektakl oparty na historii mówionej. Czy rozmawiali też o wyborze papieża czy może wspominali świetne spektakle „Ósemek” w łódzkim kościele jezuitów w latach 80.?

Jeśli dodamy do tego emocjonalne wystąpienia Brzozy przeciwko kibicom, ciągle podkreślanie idei społeczeństwa obywatelskiego i fałszywe wizje historii Łodzi, gdzie robotnicy ze wszystkich stron świata razem pracowali, ponieważ pokochali to miejsce i postanowili zmienić swe narodowe tożsamości na tożsamość łódzką - otrzymujemy spójny przekaz w stylu *Imagine* Johna Lennona: wyobraź sobie, że nie ma krajów ani religii. Ten najbardziej przereklamowany tekst w historii oparty jest na dziwnej logice: jeśli nie będzie państw, to nie będzie wojen, jeśli nie będzie religii, to nie będzie wojen religijnych. Można iść dalej: jeśli nie będzie klubów piłkarskich, nie będzie wojen kibiców, jeśli nie będzie drzew przy drogach, nie będzie wypadków, jeśli wszystko przejmie Krytyka Polityczna, nie będzie zjadliwych polemik. Wtedy wszyscy będziemy żyć w szklanych domach Rajkowskiej i słuchać muzyki Żydów z Odessy.

Tu dochodzimy do kolejnego problemu - festiwal nadal pozostaje „Łodzią Czterech Kultur a zwłaszcza Jednej”. O wątkach narodowych nie wolno wspominać, chyba że są to wątki żydowskie. Na siedem koncertów cztery dotyczą pieśni żydowskich, a kolejny to skrzypcowo-klarnetowe improwizacje do filmów Romana Polańskiego. Wciąż getto, muzyka getta, historia z gettem w tle. Bo przecież to najłatwiej znaleźć w Internecie przyjezdnym artystom mającym na zamówienie zrobić coś o łódzkiej historii (przykład Garbaczewskiego sam się tu narzuca).

Kolejny minus: festiwal stał się imprezą teatralno-muzyczną. O literaturze można zapomnieć zupełnie, plastyka zachowała się w szczątkowej wersji. Projekt Rajkowskiej jest być może ciekawy, ale na razie to cztery szklane płytki przyklejone do ściany. Na tym etapie przypomina to dekoracje wiejskich domów, gdzie do murów przykleja się potłuczone talerzyki. Włączanie w tym momencie

projekt do programu festiwalu to nieporozumienie.

Nawiasem mówiąc: na wernisaż przyszło kilkadziesiąt osób. Tego samego dnia w sprawie budowy łódzkiego stadionu demonstrowało tysiąc pięćset. Na Garbaczewskiego przybyła może setka widzów, ale do końca dotrwało dwudziestu, w tym czterech dziennikarzy. A przecież ma to być święto wszystkich łodzian.

Łódzcy artyści reprezentowani są na festiwalu jako siła pomocnicza. *Będziemy zapraszać co roku dwie osobowości, które z łódzkimi muzykami przygotują wspólny projekt* - deklaruje Brzoza. Czyli mówiąc w skrócie: soliści z Warszawy lub zagranicy plus sekcja z Łodzi, Rajkowska powie co i jak przyczepić - łódzcy studenci przykleją. Boję się jednak apelować o większy udział łodzian w programie. Skończyłoby się bowiem wspólnym projektem Człowieka-motyła i Ewy Wójciak - temat łatwy do przewidzenia.

Co zatem proponuję? Krytykować jest bowiem łatwo, ale coś sensownie podpowiedzieć trudno. Myślę, że dyrektor Brzoza musi otworzyć się na inne nurty, gdyż Kreuzbergu z Łodzi i tak nie zrobi. Otwartość nie może mieć kłapek na oczach. Proponowałbym na przykład symfoniczne wykonanie „Święta wiosny” Strawińskiego w jednym z łódzkich parków. Mija właśnie sto lat od premiery tego najważniejszego dzieła muzycznego XX wieku, manifestu modernizmu światowego (Akademia Muzyczna i UŁ zrobiły wspólnie ciekawą sesję na ten temat). Można by przy okazji namówić Kamila Maćkowiaka na jeszcze jeden pokaz „Niżyńskiego”. Albo zagrać w końcu w Łodzi kantaty Bacha w porządnym wykonaniu, może w formie mszy kantatowej u św. Mateusza (tak kantaty są prezentowane na festiwalu w Świdnicy). A może - jak w tytule felietonu - coś z Mickiewicza w Roku Tuwima? Pomysłów mam dużo więcej, ale to nie ja dostaję od miasta milion złotych na swoją imprezę. Jedno jest pewne: Brzoza musi czymś zrównoważyć nurt, nazwijmy go „krytycznym”. Każda przesada bowiem powoduje, że po zmianie władzy wahadło wychyla się w drugą stronę z tą samą siłą. Za trzy lata możemy mieć festiwal złożony wyłącznie z recytacji patriotycznej poezji i występów cerkiewnych chórów.

Piszę ten tekst na półmetku festiwalu, będąc pod wrażeniem koncertu Stevena Bernsteina i Marcina Maseckiego z łódzkimi muzyki. Utwory kompozytorów z Litzmanmstadt Getto zabrzmiały w jazzowych (momentami freejzowych) aranżacjach, a uznane gwiazdy dały też pograć mniej znanym wykonawcom. Znakomicie wypadł perkusista Piotr Gwadera, którego do tej pory znałem jedynie z rockowych zespołów Blisko Pola i L.Stadt. Okazał się muzykiem wszechstronnym, potrafiącym zapanować nad skomplikowanymi podziałami rytmicznymi w rozbudowanych improwizacjach. Zainteresowała mnie też gra skrzypka Michała Rupniewskiego (m.in. Purga).

Bardzo ciekawe (choć moim zdaniem niewykorzystane) możliwości daje koncepcja po części improwizowanego teatru Krzysztofa Garbaczewskiego. Sceneria pustego podwórka, ściana kamienicy jako ekran dla filmowych projekcji scen rozgrywających się w innych przestrzeniach (na ulicy, w mieszkaniach), przenikanie się obrazu z żywym planem, muzyka grana na żywo, wciąganie widzów do udziału w przedstawieniu - to mogło być wielkie wydarzenie. Gdyby tylko bardziej przemyśleć, o czym w tym wszystkim chodzi.

*Piotr Grobliński*

Pełen program festiwalu [Tutaj](#)